

Ku chwale

Pewnego dnia skończył się świat.

Nie przeżyłem tego jakoś ciężko, chociaż z drugiej strony inni nie przeżyli tego w ogóle. Może pomógł mi w tym fakt, że tak naprawdę był to tylko koniec ludzkości, a nie całego świata – jakże często łączyliśmy ze sobą te dwie rzeczy, jakby były ze sobą tożsame! Zresztą, skoro przeżyłem, to ten koniec ludzkości nie był ani taki całkiem ostateczny, ani aż taki straszny. No, czasem brakuje mi telewizji.

Był świat – nie ma. Była wojna... Tu akurat oficjalnie żadnego traktatu nie było, więc chyba nadal bardziej jest, niż nie.

Ja akurat miałem szczęście. Podczas tej serii wybuchów kazano mi pójść po coś do piwnicy, a że ta miała całkiem sporo pięt, no cóż... Przeżyłem.

Schowałem to coś pod płaszcz... I wtedy dobiegł mnie huk. Zamarłem.

Może i miałem wrócić na górę, ale jak tylko usłyszałem serię wybuchów, uznałem, że może nie mieć to sensu. Chociaż czasem gryzie mnie poczucie winy - może to ja odmieniłbym oblicze wojny?

Jestem więc dezertorem, ale chyba mam szczęście, przynajmniej w pewnym stopniu. Z jednej strony nie ma mnie kto ukarać, z drugiej – no cóż, nie ma nikogo nigdzie w ogóle.

Tak myślałem – do czasu. Pewnego dnia, gdy włóczyłem się w poszukiwaniu starych konserw, zauważyłem jakiś ruch pod stertą śmieci. Kilka zwierząt już widziałem, to fakt. Spodziewałem się szczura, może oposa...

Co za gadzina by to nie była, moje podniebienie już tańczyło z radości. Świeże mięso...

Mój zaostrzony kijek, o którym wolałbym myśleć jak o pice, już przymierzał się do ciosu... I wtedy z kupki wygramolił się człowiek. Stał tuż przede mną. A ja celowałem w niego zaostrzonym palikiem. Byłem w końcu głodny, ale jego ludzka natura skomplikowała sprawę.

- Kim... Kim jesteś? – spytałem.

- Nie widać? Cesarzem!

Natychmiast uklęknąłem na jedno kolano.

Co prawda przez całą wojnę myślałem, że walczymy w imię demokracji, wolności, czy czegoś takiego, ale w sumie ucieszyło mnie, że cały czas był nad nami ktoś większy i mądrzejszy. W końcu byłem pewien, że to wszystko miało jakiś sens.

Odrzuciłem więc wszelkie republikańsko-demokratyczne sympatie i przysiągłem władcy wierność i oddanie. Uznałem, że to nowy rozdział w moim życiu.

Spojrzałem w oczy imperatora. Były jakieś dziwne – tak jak się spodziewałem. Jednostka wybitna nie może wszak mieć zwyczajnego, ludzkiego wzroku.

Patrząc w te niezwykle oczy przypomniałem sobie o czymś. O mojej zbrodni, zaniedbaniu. Przedmiot pod pazuchą wciąż uwierał nie tylko bok, ale i serce.

Wyznałem mu swoją dezercję. Chociaż prawdę powiedziawszy, pomiąłem najważniejsze...

Wtedy wyraz jego oczu się zmienił, stał się jakby bardziej ludzki. O kimś małego formatu powiedziałbym, że to przebiegłość, ale u takiej osoby to niemożliwe. Ta ludzka natura spojrzenia była na pewno aktem łaski, gdyż po chwili powiedział:

- Dobrze. Wybaczam, jestem władcą litościwym, ale takie piętno da się zmyć tylko w jeden sposób.

Nadstawiłem ucha. Nie chciałem, by choć jedno słowo wymawiane przez ten natchniony głos mi umknęło.

- Sposobem tym jest wierna, uniżona służba – stwierdził.

Ucieszyłem się. Przecież i tak chciałem już tylko mu służyć!

- Co na początek, mój panie?

Znów obrzucił mnie tym swoim specjalnym spojrzeniem, ale tym razem z czymś jakby... wahaniami?

- Jestem gotów na wszystko! – dorzuciłem od razu.

Cesarz zastanawiał się – widać to było po wyrazie jego boskiej, choć przybrudzonej i zarośniętej twarzy.

- To... Może na początek zdobądź trochę jedzenia?

- Vive L'Empereur! – krzyknąłem i zaszalowałem.

* * *

Okazało się to niełatwe.

Oczywiście znalazłem całkiem sporo konserw, ale te zostawiłem dla siebie. W końcu nie mógłbym pozwolić swojemu wodzowi jeść czegoś tak podrzędnego. Jemu należało się świeże, dobrze przyrządzone mięso z przyprawami, ma się rozumieć.

Dlatego moje polowanie dość znacząco się przedłużało.

Widziałem kilka szczurów przemykających gdzieś w cieniu, raz nawet widziałem gołębia, te małe gnojki zawsze się uchowają, to takie karaluchy w skali 10:1. Tych ostatnich za to jakoś nigdzie nie było.

W końcu chciałem już zrezygnować i nakarmić jego ekscelencję tym marnym jadem plebsu. Wtedy jednak znalazłem coś... Nie wiem, czym mogło to być, oprócz tego, że zwłokami. Zerwałem

szmatę, którą to było zakryte, wziąłem trochę tego mięsa i zdrapałem zgniliznę. To o wiele godniejszy posiłek, nie ta chemia!

Ugotowałem to w wodzie z kałuży i hełmie znalezionym gdzieś przy drodze. Ukłoniłem się i podałem gar swemu cesarzowi.

- Panie – rzekłem pokornie.

O mało serce nie wyskoczyło mi z piersi, gdy zobaczyłem jego minę, ale w końcu rzekł:

- Dobrze, że chociaż coś.

Odetchnąłem. Pan był zadowolony, więc i ja byłem.

Później mój wódz nakazał wymarsz. Chciał szukać innych poddanych. Byłem nieco zazdrosny, ale że taka persona zasługiwała na więcej niż tylko moje marne życie, ruszyłem na poszukiwania. Zaraz po tym, gdy powiedziałem "Ave Cezar!" rzucił mi to swoje spojrzenie, które ukazywało ludzką twarz boskiego przywódcy, po czym ruszyłem na poszukiwania.

O dziwo tym razem udało się znacznie szybciej. Znalazłem mojemu władcy nie jednego, nie dwóch, a półtora nowych podwładnych!

- Na co ci ten miś? I po co ci te zwłoki? I co, do cholery, stało się z ich tyłkiem?!

Skuliłem się nieco, ale skoro On pyta, ja muszę odpowiedzieć.

- To twoi nowi słudzy, mój panie – odparłem. – Jeśli zaś chodzi o dolną połowę jednego z nich, ośmielę się zaryzykować stwierdzenie, że coś mogło ją odgryźć. Górna połowa mogłaby sugerować spopielenie, ale ślady w okolicach dawnego krocza sugerują jednak działanie zębów, niemałych zresztą rozmiarów.

Boski wśród ludzi (a w zasadzie wśród człowieka, misia i trupa) przełknął ślinę. Nie dziwię się, wypowiedanie wielkich mądrości wymaga przecież odpowiednio nawilżonego gardła.

- Musimy... – zakrztusił się. – Musimy uciekać!

Co to było w jego głosie? Ta dziwna nutka... Czy to strach?!

Od razu sam sobie wymierzyłem policzek za tę heretycką myśl i zniewagę cesarskiego majestatu. Rzucił mi swoje charakterystyczne spojrzenie, którym obdarzał mnie najczęściej wtedy, gdy uważałem, że najbardziej się do niego zbliżam.

To oczywiste, że chciał się schować, by chronić mnie, a przy tym mnie nie opuścić. Dobry władca zawsze myśli o swoich poddanych.

Stałem tak i myślałem, aż w końcu doszedł do mnie jego głos. Natychmiast wymierzyłem sobie policzek za niesłuchanie.

- Słuchaj, ty byłeś żołnierzem, prawda?

- Z łaski cesarza!

- Znajdź nam coś, miejsce, nie wiem, coś, co nas ochroni! A ja, no ten... O, dam ci awans!

Będziesz tym, no, generałem!

- Jesteś zbyt łaskawy, o najjaśniejszy!

- No ale już już, generale, ruszaj się!

Wedle rozkazu, ruszyłem się.

Długo szukać nie musiałem. Po prostu zeszliśmy do piwnicy.

Po kilku dniach, gdy mojemu Panu zaczęło kończyć się mięso z poddanego, wyruszyłem na zwiady.

Całkiem niedaleko znalazłem winnego całego tego zamieszania z rozerwanym ciałem.

W okolicy błąkał się piesek. Zwyczajny, choć niemały, nieco wystraszony.

Otworzyłem puszkę i podszedł. Wziął kęs, drugi.

Do pałacu wracałem z nowym, ale już nieodłącznym towarzyszem.

* * *

- Co to, kurwa, jest?! – krzyknął Cesarz.

- Twój... Twój nowy sługa, mój panie.

Imperator zasępił się. Jego brwi zafalowały. Uniósł jedną, potem drugą, aż w końcu nieco się rozpromienił, a wraz z nim – moje serce.

- W sumie dobrze się składa – rzekł już uśmiechnięty. – Akurat zgłodniałem.

W moim sercu coś zamarło.

- Z... Zgłodniałeś, mój panie? A co to ma do psa?

Imperator ogarnął mnie swym przewspaniałym wzrokiem.

- No... Wszystko! W końcu nie będę musiał jeść truchła...

Spojrzałem na psa, a następnie na wszechwładnego eminencję.

- Ale... To przyjaciel!

- A twój cesarz jest głodny. No już, idź zrobić mi coś do jedzenia!

- Hei...

- Już nie przesadzaj z tymi salutami. To może nam zaszkodzić.

Poszedłem na bok, bo i cóż miałem zrobić? Pies posłusznie podreptał przy mojej nodze.

Gdy znaleźliśmy się w drugim pomieszczeniu, spojrzałem w psie oczy.

- Nie! Nie mogę!

Wróciłem do króla.

- I co? – zapytał.

- Nie... Nie mogę tego zrobić!

- Co?! Zdradzasz państwo? Ponownie!

- Ten pies to część państwa! – odkrzyknąłem.

- Państwo... – rzekł cesarz. – Państwo to ja.

Tak więc zniszczyłem państwo. Zakończyłem jego istnienie jednym dźgnięciem, a później zjadłem je wraz z psem.

Wziąłem misia pod pachę i z psem u boku przedelfilowałem przez plac przy piwnicy, tuż pod łukiem triumfalnym, który dawniej był zapewne tylko mostem, teraz jednak tak już nie było.

Zamach powiódł się, teraz to ja byłem cesarzem i miałem wiernego sługę.

Wyciągnąłem przedmiot spod płaszcza i zdeptałem go. Byłem teraz cesarzem, nie potrzebowałem żadnej tarczy, nawet antyrakietowej.

Zasępiłem się jednak. Martwiło mnie tylko, by historia swym zwyczajem nie zatoczyła koła – jedzenia było bowiem coraz mniej, a pustka w psim żołądku robiła się większa.